

20. Zdobywca dusz

20. Zdobywca dusz

Zawsze podziwiam tych braci, którzy podchodzą do każdego z osobna, swobodnie i otwarcie potrafią rozmawiać z nimi o ich duszach. Nie zawsze jestem w tym dobry, chociaż z Bożą pomocą uzyskiwałem wielką nagrodę z takiej służby. Jak wiele dusz może zostać przyprowadzonych do Chrystusa przez pełne miłości napomnienia chrześcijan, którzy nauczyli się tej świętej sztuki! To jest piękne jak Bóg błogosławi nawet bardzo małe wysiłki w tej dziedzinie.

Wiele lat temu, po wygłoszeniu kazania pewnego wieczoru, zostałem odwieziony do domu przez woźnicę. Gdy już wysiadłem i zapłaciłem, wyciągnął z kieszeni mały Nowy Testament, pokazał mi go i powiedział: „Minęło już piętnaście lat od czasu, kiedy mi go dałeś i rozmawiałeś z mną o mojej duszy. Nigdy nie zapomniałem twoich słów, a od tamtej pory nie ma dnia, żebym nie czytał z książki, którą mi wtedy dałeś.” Ucieszyłem się, że w tym przypadku ziarno najwyraźniej padło na podatny grunt. Pewnego wieczoru obiecałem, że pójde do pewnego miasta położonego nad rzeką, aby tam głosić. Tego dnia pojechałem do miasta bardzo wcześnie, aby mieć trochę czasu przepłynąć łodzią. Wynałamałem więc rybaka, żeby z nim popłynąć. Kiedy siedziałem w jego łodzi, chciałem z nim porozmawiać o Bożych sprawach. Zacząłem więc rozmowę pytając się o jego rodzinę. Powiedział mi, że cholera nawiedziła jego dom i że stracił nie mniej niż trzynastu krewnych. Umierali jeden po drugim. Moje pytanie i odpowiedź tego człowieka, przygotowało drogę do rozmowy, która potoczyła się mniej więcej tak:

Spurgeon: „Czy masz dobrą nadzieję, że pójdziesz do nieba, kiedy umrzesz?”

Rybak: „Cóż, myślę, że tak.”

S.: „W takim razie chciałabym, abyś opowiedział mi o swojej nadziei, bo nikt nigdy nie powinien wstydić się swojej nadziei.”

R.: „Cóż, pływam po tej rzece od dwudziestu pięciu czy trzydziestu lat i nikt nigdy nie widział mnie pijanego.”

S.: „Czy to wszystko, na czym się opierasz?”

R.: „Cóż, kiedy panowała cholera i moi biedni sąsiedzi byli chorzy, chodziłem dla nich do lekarza i czuwałem nad nimi wiele nocy. Myślę, że jestem co najmniej tak dobry jak większość ludzi, których znam.”

Oczywiście, powiedziałem mu, że bardzo się cieszę, gdy słyszę o jego współczuciu dla

cierpiących i uważam, że lepiej być uprzejmym niż być niegrzecznym. Ale uważam, że samo dobre zachowanie nie może zaprowadzić go do nieba. Potem powiedział:

„Cóż, może nie może. Ale kiedy będę trochę starszy, to myślę, że zrezygnuję z łodzi i zacznę chodzić do kościoła, wtedy wszystko będzie dobrze, prawda?”

S.: „Nie, na pewno nie. Gdybyś chodził do kościoła, to twoje serce i tak byłoby niezmienione, a twoje grzechy nie byłyby usunięte. Możesz zacząć chodzić do kościoła tak szybko, jak to możliwe, ale przez to nie zbliżysz się do Boga ani o centymetr”.

Ten biedny człowiek był teraz całkiem zdumiony, gdy tak po kolei rozwiewałem jego nadzieje. Wznowiłem rozmowę zadając mu kolejne pytanie:

S.: „Grzeszyłeś czasem w swoim życiu, prawda?”

R.: „Tak, ja nawet często grzeszyłem”.

S.: „Na jakiej więc podstawie uważasz, że powinny być ci odpuszczone twoje grzechy?”

R.: „Cóż, byłem smutny z ich powodu, i myślę, że wszystkie odeszły - już mnie nie niepokoją”.

S.: „Załóżmy, że poszedłeś na zakupy do sklepu mięsnego, w którym zawsze robisz zakupy i tam bylibyś zadłużony. Myślisz, że poszedłbyś do sprzedawczyni i powiedział jej: «Widzi pani, ma pani długą listę przeciwko mnie. Z przykrością muszę powiedzieć, że nie jestem w stanie zapłacić za wszystkie towary, które u pani kupiłem. Ale powiem pani co zrobię - zrobię to: Nigdy więcej nie będę miał u pani długu.» Wtedy ona szybko ci odpowie, że to nie jest sposób, w jaki ona prowadzi interesy. Czy uważasz, że tak można traktować wielkiego Boga? Czy sądzisz, że Bóg pójdzie i anuluje twoje przeszłe grzechy tylko dlatego, że mówisz, iż nie będziesz więcej grzeszyć przeciwko Niemu?”

R.: „Bardzo chciałbym wiedzieć, w jaki sposób moje grzechy mogą być odpuszczone. Czy jesteś księdzem?”

Opowiedziałem mu tak prosto i jasno, jak tylko potrafiłem, że Pan Jezus Chrystus zajął miejsce grzeszników, i że ci, którzy nadzieję w Nim pokładają i polegają na Jego krwi i sprawiedliwości znajdują przebaczenie i łaskę. Mężczyzna był zachwycony prostą historią krzyża. Powiedział, że żałuje, że nie usłyszał tego wiele lat temu, a potem dodał: „Prawdę mówiąc, nie czułem się dobrze, kiedy widziałem te wszystkie biedne istoty, które zostały złożone w grobie. Czułem, że jest coś, czego potrzebowałem, ale nie wiedziałem dokładnie co.”

Nie mogę powiedzieć, jaki był ostateczny rezultat naszej rozmowy, ale zostałem uspokojony, że przynajmniej pokazałem mu Bożą drogę do zbawienia w języku, który mógł zrozumieć.

Czasami nie jest mi łatwo wpływać na niektórych ludzi, a czasami powodem tego była porażka tych, którzy powinni byli pracować nad nimi przede mną. Pewnego dnia próbowałem powiedzieć woźnicy o moim panu. Na to on odpowiedział:

„Czy zna pan pastora . . . ?”

„Tak”- odpowiedziałem - „znam go dość dobrze. Co chcesz mi o nim powiedzieć?”

„Cóż. Jest typem kaznodziei, którego lubię. Podoba mi się bardzo jego religia.”

„Co to za religia?”

„Cóż, jeździł tym kursem codziennie przez sześć miesięcy i nigdy nie powiedział nic o swojej religii. To jest rodzaj kaznodziei, którego lubię.”

Wydawało mi się to bardzo wątpliwym komplementem dla człowieka, który podawał się za sługę Pana Jezusa Chrystusa. W innych przypadkach, trudności w postępowaniu z ludźmi polegały na ich nieznanym planu zbawienia. Kiedy rozmawiałem z dwoma lub trzema osobami, jadąc koleją, o mojej własnej nadziei w Chrystusie, to było to coś zupełnie nowego dla moich słuchaczy. Widziałem zdziwienie na wielu twarzach inteligentnych Anglików, gdy wyjaśniałem naukę o zastępczej ofierze Chrystusa. Spotkałem nawet ludzi, którzy od dzieciństwa chodzili do kościoła, ale nie poznali nawet fundamentalnej prawdy o zbawieniu przez wiarę. Tak, byli tacy, którzy należeli do niezależnych kościołów, a jednak nie mieli nawet zrozumienia prostej prawdy, że nikt nie jest zbawiony przez własne dobre uczynki, ale tylko przez wiarę w krew i sprawiedliwość Jezusa. Ten naród popadł w samousprawiedliwienie. Protestantyzm Marcina Lutra jest powszechnie nieznan. W prawdę wierzą wszyscy, którzy są powołani przez łaskę Bożą, ale większość mówi o tym, że robią wszystko, co w ich mocy i mają nadzieję na Boże miłosierdzie.

Mimo, że Anglia jest krajem ewangelickim, bez wątpienia są tam ludzie, którzy są na tyle pontyfikalni, że dokonują wielkich czynów religijnych ze względu na zasługi. Jakże długi jest rząd przytułków zbudowanych przez tego nędznego starego ciemniaczka biednych, który przez to chciał zadośćuczynić za swoje nagromadzenie majątku! A jaki wielki spadek zostawił inny dla szpitala. To była naprawdę dobra rzecz, ale człowiek, który ten spadek zostawił, nigdy w życiu nie dał ani grosza żebrakowi. Nadał nic by nie dał, gdyby nie umarł, bo przecież wiedział, że nie będzie mógł zabrać ze sobą żadnych swoich pieniędzy. Pozostawił je więc na cele charytatywne jako „pokutę” za swoje grzechy.

Niektórzy ludzie są tak naiwni i myślą, że ich religijne uczynki zaprowadzą ich do nieba. Chodzą na spotkania modlitewne dwa razy dziennie, poszczą w okresie postu, ozdabiają ołtarz haftami, robią witraże do okien kościoła, płacą za nowe organy. Wiele rzeczy robią za radą swoich księży. Pracują jak ślepe osły w młynie od rana do nocy i podobnie jak osły, nie czynią prawdziwych postępów. Niektórzy z tych, którzy nazywają siebie chrześcijanami, wydaje mi się, że wierzą w pewien rodzaj kontraktu szczerego posłuszeństwa, gdzie człowiek czyni, co może, a Chrystus czyni resztę i tak człowiek jest zbawiony. Ale Bóg nigdy nie przyjmie niczego od człowieka, który jest dłużnikiem Boskiej sprawiedliwości. Niektórzy ludzie myślą, że są już w drodze do nieba, ponieważ chodzą do kościoła lub na zgromadzenia, przyjmują sakramenty i spełniają pewne religijne lub inne dobre uczynki, które prowadzą do przyzwoitego wyznawania religii. Ale jeżeli te rzeczy zajmują miejsce Chrystusa, to jest to droga do gehenny.

Nie wiem, co pomyśleli moi słuchacze. Ja, na przykład, mogę szczerze powiedzieć, że schodziłem z kazalnicy niezliczoną ilość razy i jęczałem, że nie mogłem głosić kazań tak, jakbym chciał. Ale to było moją pociechą: że moim pragnieniem było, aby zawsze wielbić Chrystusa. Starłem się, aby moje sumienie było czyste od krwi wszystkich ludzi, szukałem całej prawdy, czy oni chcieli, czy nie.

To musi być straszne dla człowieka, zwłaszcza dla głosiciela Chrystusa, który nie głosił Ewangelii, kiedy będzie musiał stanąć przed sądem Bożym i będzie musiał odpowiedzieć za dusze, które zostały mu powierzone. Często dziwiło mnie, gdy słyszałem, jak niektórzy starzy kaznodzieje pracowali stabilnie w jednym miejscu przez dwadzieścia, trzydzieści lub czterdzieści lat i nie widać było żadnych owoców. Nie chcę ich osądzać - stoją lub upadają sami wobec swojego Mistrza. Ale gdybym był w takiej sytuacji, nie

odważyłbym się opuścić winnicy Pańskiej, do której zatrudnił mnie Pan w młodości, ale wynioskowałbym, że chce On, abym służył w innej części jego winnicy, gdzie moja praca przyniosłaby więcej błogosławieństwa.

Dziękuję Bogu, że nie pracowałem na próżno i nie zmarnowałem swoich sił na darmo. Dał mi długi okres i udaną służbę, za którą z całego serca Go chwałę i wielbię Jego Święte Imię. Czasami wzrost był większy, czasami mniejszy, ale przez większość czasu nieprzerwany strumień Jego błogosławieństw płynął z tą samą intensywnością. Nigdy nie było moim pragnieniem, by pędzić w historii świata i robić z innych wyznań prozaików, ale raczej chciałem zebrać z nami tych, którzy jeszcze nie należeli do zgromadzenia wierzących i nie chodzili do jakiegokolwiek domu Bożego. Oczywiście, wiele osób, przychodziło do nas z innych wspólnot, jeśli uważali, że to mądry i słuszny krok do podjęcia. Ja uważam, że to palący wstyd, gdyby słusznie można było powiedzieć: „To wielkie zgromadzenie pod opieką tego pastora składa się z członków, których ukradł z innych kościołów chrześcijańskich.” Dla mnie, bezbożnicy i obojętni, którzy wyszli ze świata do społeczności z Chrystusem mają najwyższą wartość. To są prawdziwe zyski - nie skradzione potajemnie z przyjaznych brzegów, ale zdobyte z spod panowania wroga ostrzem miecza Bożego Słowa.

Czasami desperacki przypadek wymaga desperackiego rozwiązania. Raz miałem do czynienia z człowiekiem, który zgadzał się ze wszystkim, co mówiłem. Kiedy mówiłem o złu grzechu, zgadzał się ze mną i powiedział, że miałem całkowitą rację. Kiedy powiedziałem mu o drodze zbawienia, zgadzał się z nią, ale widocznie jego serce nie było poruszone tą prawdą. Prawie chciałem, żeby zaprzeczył wszystkiemu, co powiedziałem, bo to by mi dało sposobność, by omówić z nim całą sprawę i doprowadzić go do decyzji. W końcu odniosłem wrażenie, że nie ma nadziei na dalszą rozmowę z nim, więc powiedziałem: „Faktem jest, że pewnego dnia umrzesz i pójdiesz na wieczne potępienie.” Odszedłem bez słowa. Jak oczekiwałem, nie minęło wiele czasu, gdy posłał po mnie. Poprosił mnie o wyjaśnienie, dlaczego powiedziałam o nim tak straszne rzeczy. Odpowiedziałem mu na to: „Wydawało mi się całkiem bezużyteczne rozmawiać z tobą o ratowaniu twojej duszy, bo nie czułem, aby pociągało cię to, co powiedziałem. Równie dobrze mógłbym próbować poleć olejem po marmurowej płycie i patrzeć jak on po niej spływa, niż oczekiwać, że zostaniesz dotknięty przez prawdę, którą ci przedstawiłem. Dlatego jestem przekonany że zostaniesz potępiony.” Był bardzo zły, że mówię do niego tak otwarcie. Znowu odszedłem i zostawiłem go zdeorientowanego. Kilka godzin później, był w strasznym stanie umysłu. Duch Święty przekonał go o jego stanie, pokazał mu, że jest grzesznikiem i bardzo zmartwił go stan jego duszy. Człowiek ten zaczął pokutować i uwierzył. Ochrzcił się, wstąpił do kościoła i kilka lat później odszedł do domu, do nieba.